NUMER 38. DNIA 17. WRZEŚNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## ARNOLD BISKUP POZNAŃSKI

1180 — 1210.

O Arnoldzie, biskupie poznańskim, bardzo tylko szczupłe mamy wiadomości. Przyczyna leży w odległości czasu i w szczupłości dochowanych źródeł historycznych.

Długosz w Katalogu biskupów poznańskich podaje, że nasz Arnold miał nastąpić na stolicę biskupią poznańską w dniu 15. sierpnia 1177 po Gierwardzie, a zasiadać miał lat dziewięć, gdyż miał umrzeć dnia 18. lutego 1186. Był zaś kanonikiem gnieznieńskim i poznańskim i używał herbu Dołęga.



Daty powyższe, przywiedzione przez Długosza, zaledwo w drobnej części są w stanie wytrzymać pobłażliwą krytykę, przeważnie zaś są nieprawdziwe.

I tak nie mógł nasz Arnold objąć stolicy biskupiej poznańskiej już w r. 1177 i siedzieć na niej lat dziewięć, skoro tenże sam Długosz w Historji swej pod r. 1180 przywodzi, że na synodzie łęczyckim, w tymże roku odbytym, zasiadał biskup poznański, nie Arnold a Herubin. Jeśli przeto jeszcze w r. 1180 był Herubin biskupem poznańskim, to Arnold mógł nim zostać dopiero po Herubinie, a zatem dopiero po synodzie łęczyckim, w r. 1180 odbytym. Takoż najstarszą wiadomość, dotyczącą naszego biskupa Arnolda, podaje kronika klasztoru Benedyktynów w Lubieniu, mianowicie, że w r. 1180 tenże Arnold poświęcił ołtarz św. Benedykta w kościele klasztornym lubieńskim i nadał mu wsie Wyrzekę i Proczewo.

Otóż, jeśli ta wiadomość jest prawdziwą, że nasz Arnold był już w r. 1180 biskupem poznańskim, to wynikałoby stąd, że Herubin, biskup poznański, poprzednik naszego Arnolda zmarł jeszcze w r. 1180, po synodzie łęczyckim, i że nasz Arnold jeszcze w tym roku został na stolicy biskupiej poznańskiej bezpośrednim biskupa Herubina następcą.

Również nieprawdą jest, że nasz biskup Arnold umarł już 18. lutego 1186, skoro go jeszcze w r. 1210 żyjącego spotykamy. Nie można się tu bowiem domyślać dwóch różnych Arnoldów biskupów poznańskich, z których jeden żyłby w r. 1180, drugi w r. 1210,

skoro Długosz zna w swoim katalogu tylko jednego Arnolda biskupa poznańskiego (1177 † 1186) a o takim Arnoldzie, któryby żył w r. 1210, choć mu czasem bliższy, nic zgoła nie wie i owszem po śmierci biskupa Filipa, który miał umrzeć w r. 1209, kładzie bezpośrednio Pawła, który panuje 33 lat i umiera w r. 1242.

Otóż gdy ten Paweł, który jak to z innych źródeł wiemy, był bezpośrednim następcą naszego Arnolda, już w r. 1211 notorycznie jako biskup poznański występuje, zaś nasz Arnold występuje po raz ostatni w r. 1210, to wynikałoby stąd, że nasz Arnold został biskupem poznańskim w r. 1180 bezpośrednio po Herubinie a umarł w r. 1210 lub 1211.

Czy był kanonikiem gnieznieńskim i poznańskim, jak chce Długosz, jest bardzo wątpliwem. Mianowicie występuje w r. 1176 Arnold biskup lubuski w sporze, który Bogumił opat mogilnieński w przedmiocie wsi Radziejów przed księciem Mieszkiem Starym prowadził. Otóż jest wszelkie prawdopodobieństwo, że tento właśnie Arnold biskup lubuski, który się księciu Mieszkowi Staremu w owym sporze snadź z dobrej strony dał poznać, następnie przez tegoż księcia po śmierci biskupa Herubina na biskupstwo poznańskie został promowany.

Co do biskupiej działalności naszego Arnolda, wiemy bardzo niewiele. Pierwszym jego aktem biskupim było uposażenie nowo ufundowanego ołtarza św. Benedykta w kościele klasztornym lubieńskim dwoma wsiami, co się w r. 1180 stać miało; o drugim akcie, mianowicie o nadaniu klasztorowi lubiąskiemu wsi Kosęcin, wspomina Długosz w katalogu biskupów poznańskich. W r. 1201 nadał on jedną prebendę w katedrze poznańskiej Szpitalnikom Jerozolimskim, co papież Innocenty III. zatwierdził. Co zaś najważniejsze, to to, że uczestniczył w r. 1210 na synodzie w Borzykowie odbytym. W historji kościoła polskiego synod borzykowski niewątpliwie najcelniejsze zajmuje miejsce. Na tymto synodzie uchwalili książęta polscy w zasadzie zupełną wolność kościoła polskiego a to tak od wszelkich danin i posług publicznych, jakoteż i od jurysdykcji świeckiej; a jakkolwiek uchwała ta w skutek zaszłej zmiany zapatrywań książąt, nie weszła narazie w wykonanie i kościół polski z okładem sto lat walczyć jeszcze musiał o uzyskanie swobód powyższych, przecież nie byłby ich nigdy w tak szerokiej mierze wywalczył, gdyby nie miał za sobą postanowień synodu borzykowskiego.

Jeśli wreszcie wolno wyciągać jakie wnioski o samej osobie z pieczęci naszego biskupa Arnolda, która nam się u przywileju borzykowskiego w doskonałym dochowała stanie, a jest to pieczęć piękna i wspaniała i niewątpliwie najwspanialsza z pieczęci wszystkich ówczesnych książąt kościoła polskiego, wspanialsza od pieczęci Wincentego, biskupa krakowskiego, nielada wielmoży, a nawet wspanialsza od pieczęci Henryka arcybiskupa gnieznieńskiego, która też w skutek tego bajeczne sumy kosztować musiała, to z tej pieczęci skłonni jesteśmy do wyciągania wniosku, że nasz biskup Arnold był dostojnikiem potężnym, który umiał swoją godność wysoko stawiać i do szanowania jej zniewalać, a nie był też obcym wpływom, jakie sztuki piękne na umysł ludzi podniosłych zwykły wywierać. Pieczęć jego jest nietylko wspaniała ale i artystycznie piękna.

*Dr. Franciszek Piekosiński.*

---

# Dawniejsze widoki Lwowa.

## I. Z czasów Rzeczypospolitej.

Lwów nie miał szczęścia do malarzy i sztycharzy. O ile inne miasta polskie, a zwłaszcza Gdańsk, posiadają wielką ilość widoków perspektywicznych, rysowanych i sztychowanych różnymi czasy i przez różnych mistrzów, o tyle wspaniała i iście królewska panorama Lwowa, roztaczająca się z okolicznych wzgórz, rzadkie tylko budziła zachwyty estetyczne, któreby się komuś rylcem lub pędzlem chciało uwiecznić. Dopiero Georg Braun, archidjakon z Dortmund, wydawca olbrzymiego dzieła, które wychodziło w Kolonji od r. 1597 do 1618 p. t. „Civitates orbis terrarum, in aes incisae et excussae" etc. pomieścił w tomie szóstym tegoż wydawnictwa duży widok Lwowa, rytowany na miedzi przez Fr. Hogenberga (fig. 1). Jest to w ogóle najlepszy, jedyny i najstarszy widok Lwowa, jaki się do naszych czasów dochował, a pochodzi z początku siedmnastego wieku. Robiony sumiennie i, o ile współczesna technika malarska na to pozwalała, dokładnie, stanowi ten widok jedyne też źródło, z którego zaczerpnąć można wyobrażenia, jak dawny Lwów wyglądał. Rysownik schwycił go od strony zachodniej, jak

gdyby od dzisiejszych wałów hetmańskich. Po prawej stronie widnieją zarysy wieży na bramie halickiej, w dali wieża na cerkwi św. Krzyża. Kościoła Bernardynów w dzisiejszej postaci nie widać, gdyż właśnie w ten czas znajdował on się w budowie, podobnie jak i kościół Jezuitów. Również i wieża ratuszowa nie bardzo przypomina kształtami swymi tę wieżę, którą ukończył w r. 1611 rajca i burmistrz dr. Marcin Kampian, a która runęła w r. 1826. Widocznie więc rycina powstała przed rokiem 1611. Natomiast wieża kościoła katedralnego występuje wyraźnie w swym pierwotnym kształcie, który zmienił przy końcu ośmnastego wieku i wytynkował mury




(pierwotnie bowiem była katedra nietynkowana t. z. „rohbau“) arcybiskup Sierakowski. Tak samo i kontury Wysokiego Zamku, wyraźne wcale, są prawie że jedynem źródłem do poznania położenia i struktury jego. Widoczna obok Łysa góra (m o n s c a l v u s) zniesioną została zupełnie.

Widok ten Lwowa, zaopatrzony w opis miasta, sporządzony na zamówienie Brauna przez współczesnego patrycjusza lwowskiego, Jana Alembeka i pomieszczony również we francuskiem tłómaczeniu tego dzieła, wychodzącem równocześnie w Brukseli, stał się niejako typowym obrazem miasta naszego. Naśladował go Andrzej Cellarius w dziele swojem, wyszłem później w Amsterdamie, p. t. „R e g n i P o l o n i a e... e t c... d e s c r i p t i o“, przerytowano go i w polskie napisy zaopatrzono w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku do Zimorowicza „Kroniki m. Lwowa“, przetłómaczonej i wydanej w r. 1835 przez Marcina Piwockiego. W mniejszym formacie ozdobił nim w r. 1848 Fr. Kulczycki książkę swoją p. t. „Rys historyczny Tow. strzelców lwowskich“. Również i w ostatnich czasach był ten widok wielokrotnie reprodukowany w publikacjach historycznych, do Lwowa się odnoszących, ostatnio zaś pomieścił go p. Władysław Łoziński w dziele swojem najnowszem „Prawem i Lewem“.

Drugim chronologicznie, ale zupełnie nieznanym jest widok Lwowa na płaskorzeźbie kamiennej, pochodzącej najprawdopodobniej ze starego ratusza w Wilnie. Płaskorzeźba ta o grubych i niewyraźnych zarysach, przedstawia pożar Lwowa, być może w r. 1624, a znajduje się obecnie w muzeum hr. Tyszkiewiczów w Wilnie. Fotograficzną jej reprodukcję, uzyskaną staraniem archiwarjusza m. dar Czołowskiego, posiada Archiwum miejskie we Lwowie.

Z drugiej połowy lub z końca XVII. w. pochodzi prawdopodobnie obraz olejny, przedstawiający widok Lwowa wraz z Wysokim Zamkiem. Widok to bardzo dokładny i pod wielu względami ciekawy, kopja zaś jego, sporządzona przez artystę malarza p. Kühna, znajduje się w Archiwum miejskiem.

Również w Archiwum miejskiem znajduje się kopia rzekomego portretu ks. Lwa, założyciela

Lwowa, któremu za tło służy widok miasta z XVII. wieku z Wysokim Zamkiem. Portret sam, jako wymyślony przez Dominikanów w XVII. w. nie ma żadnej wartości, a ciekawy jest właśnie z powodu widoku Lwowa, malowanego współcześnie.

Ostatnim wreszcie widokiem Lwowa z czasów przedrozbiorowych jest nieudolne malowidło braciszka Minorytów, Joachima Ornanusa, który, malując w r. 1731 kościół Panny Marji w Jarosławiu, umieścił tam i widok Lwowa, najwidoczniej z pamięci. Podobiznę tego widoku podał leszczyński „Przyjaciel ludu“ w r. 1846.

*Fr Jaworski.*



## Rewolucjoniści polscy i rosyjscy w powieści angielskiej.

(Dokończenie.)

Altruizmowi Olivii brak światła, które rzuca szerszy pogląd na świat, myśl samodzielnie wybijająca się poza zakreślone przez konwenans drogi. Jak w domu altruizm ten nie znalazł ujścia odmiennego od tego, które wytykał przykład innych, żądnych poświęcenia dusz (gdyby Olivia była religijną, może stałaby się misjonarką wśród murzynów), tak w obec dokonanego odkrycia stosuje miarę konwencyjną zfilistrzałych sfer, do których należy: „wszelki talent musi być pielęgnowany“. Krytycyzm jej nie sięga dość głęboko, aby dostrzedz, że u podstawy tego przykazania życiowego tkwi domyślny argument: „bo jest kopalnią łatwych zysków“. Przykazanie jest dla niej bezwzględne, a przybiera w jej umyśle zabarwienie idealistyczne: „służenie sztuce“. I oto ten człowiek, któremu od urodzenia wytknięta została droga sztuki, oddaje się zadaniom, do których nie ma żadnych uzdolnień, które wydają się Olivii niezrozumiałemi, prawie bezcelowemi, a do których aspiracje są co najmniej bezowocne. Tego rodzaju artyzm, który polega na kształtowaniu niewidzialnego gmachu instytucji, tego kucia w marmurze duszy społecznej nie rozumie Olivia i zdaje się jej, że człowiek, który potrafi z gliny wylepić ptaka lub rękę ludzką, nic już lepszego w życiu nie znajdzie, ani szukać nie powinien. Ani też przez myśl jej nie przejdzie, że to pozorna dziś rzadkość talentów, która każe je tak wysoko cenić i kapitalizować, jest wynikiem ustroju głuszącego tysiące utajonych zawiązków, jako że tylko w wyjątkowo szczęśliwych okolicznościach rozwijać się im pozwala, że jeśli o sztukę idzie, to wytworzenie ustroju, pozwalającego każdej jednostce rozwijać do możliwych granic zasoby swego umysłu, posuwa w nierównie potężniejszy i bardziej masowy sposób rozkwit sztuki, niż indywidualne wysiłki jednostki w wyjątkowe okoliczności postawionej wśród przygnębiających i tłumiących twórczość warunków otoczenia.

Gdy tak stopniowo rozwija się rozdźwięk między narzeczonymi — rozdźwięk, który z właściwą sobie brutalną i szorstką szczerością zaznacza Włodzimierz, jednocześnie nawiązywać się zaczyna sympatyczna nić pomiędzy Karolem a Olivią.

Uczucie to tłumione jest ze stron obu: z jego, bardzo starannie utajone i osłonięte szorstką obojętnością przez wzgląd na przyjaciela; z jej — drażnione uczucia żalu do Karola za to, że on to wciągnął Włodzimierza do owej zgubnej dla jego zdrowia i talentu działalności rewolucyjnej. Przy ogromnem więc panowaniu nad sobą obu stron ujawnia się tylko w zaledwie dostrzegalnych i chwilowych objawach, które raczej przygotowują czytelnika do dalszego przebiegu, niż dają mu dostrzedz, co dzieje się w duszach obojga. Karol też niebawem opuszcza ich.

Tymczasem lato skończyło się i młoda para odjeżdża do Petersburga. Rozdźwięk wewnętrzny rośnie tu, chociaż nie objawia się zewnętrznie. Pewnego wieczora Włodzimierz zmuszony jest dla ostrzeżenia kolegi spędzić kilka godzin na zmiennem powietrzu petersburskiem. Ścigany przez szpiegów, po długiem krążeniu po ulicach przychodzi późno znużony i zziębnięty. Wywiązuje się zapalenie płuc bardzo groźne w jego sytuacji.

Karol przybywa i znowu oboje z Oliwią, przy jej bezwzględnem poświęceniu ratują chorego. Niestety w chwili, gdy stan rekonwalescenta zależy od spokoju i łagodnej temperatury, w mroźną, burzliwą noc wrywają się żandarmi i biorą Włodzimierza do więzienia.

Olivia robi starania, aby widzieć więźnia, lecz spotyka się tylko z brutalnością i okrutnemi drwinami. Dowiaduje się wreszcie o jego śmierci. Zachowanie się żandarmerji, jej cynizm przedstawione tu są z realizmem drastycznym.

Okropne podejrzenie, że Włodzimierz został żywcem pochowany, nie daje jej spoczynku. Przybywający w tej chwili Karol, dostarcza jej do-

wodu przeciwnego. Pod wrażeniem tych przejść odjeżdża Olivia do domu i przechodzi rozstrój nerwowy, zbliżony do obłędu, z którego ratuje ją przybycie Karola. Oddają się przez jakiś czas wspólnej pracy; niebawem jednak nowy cios spada na budzącą się do życia Olivię: dowiaduje się przez nieostrożność jednego z kolegów o rozwijającym się u Karola paraliżu postępowym.

Z szczególnem zamiłowaniem kreśli autorka zarówno stan patologiczny Olivii, jej halucynacje i ataki przerażenia w chwilach spędzonych w domu rodzicielskim, jak i ten nastrój ponury, który następuje po odkryciu choroby Karola, a każe jednemu ukrywać swoje cierpienia, drugiej — świadomość beznadziejnego położenia jego.

*Deus ex machina* ocala sytuację: Karol dostaje postrzał przy przeprawie przez granicę. Spoczynek i reakcja organizmu wywołują cudowne niemal uzdrowienie. Gdy fakt ten zostaje stwierdzony przez powagę lekarską w Londynie, Karol wyznaje miłość swoją Olivii.

Taki jest wątek powieści. Przebieg jego wskazuje już na przewagę momentów psychologicznych nad społecznymi, zostającymi nie już na drugim planie, lecz zupełnie w ukryciu. Prócz paru scen związanych z uwięzieniem Włodzimierza a traktowanych znowuż głównie jako momenta nadające tragizm i okrucieństwo sytuacji, a tylko zewnętrznie potrącające o to, co stanowi główną treść życia obu boaterów, nie widzimy ich wcale. Jak zazdrosny kochanek idei, której służy, wrażliwy Włodzimierz, unika rozmowy o niej z osobą, która, jak to czuje, nie jest w stanie podnieść jego zapału i ocenić go należycie; praktyczny zaś i bystry Karol zaprzęga Olivię do pracy w tym kierunku filantropijnym, do którego jest uzdolnioną. Nic nie odsłania czytelnikowi tych wewnętrznych sprężyn działalności obu, bez których czyny ich wydają się czemś pokrewnem niemal z maniactwem, jak też — przedstawiają się Olivii.

Czułe sceny są również jakby rozmyślnie pominięte. Stosunek między Olivią a Włodzimierzem a później między nią i Karolem przypomina raczej rodzeński lub przyjacielski; a gdzie niegdzie rzucone ulotnie rysy czulsze przechodzą bez wrażenia. Autorka jakby świadomie pomija tę stronę, która nie należy do jej talentu: miłość, wiążącą Olivię z Włodzimierzem zastajemy już w fazie zrównoważonej zaręczonych; o miłości pomiędzy nią a Karolem, rozwijającej się w przebiegu powieści, każe raczej domyślać się czytelnikowi, niż ją maluje.

Natomiast cała uwaga i staranność skupia się na kreśleniu chwil bolesnych, smutnych, psychopatologicznych, w których oddaniu celuje autorka.

Ta jednostronność, dobrowolnie obrana, czy wynikająca z charakteru talentu, kładzie piętno swoje i na kreśleniu charakterów. Gdy postacie drugorzędne, zarówno z rodziny Olivii jak i Włodzimierza, zarysowane są doskonale kilku wyrazistemi pociągnięciami pióra, w głównych brak jest czegoś, a mianowicie tego, co stanowi ich wewnętrzną istotę ich tło psychologiczne, jako osobników, treść ich życia wewnętrznego. Nietylko Śliwiński i Damarów, u których ten brak wykończenia zależy w znacznej części od pominięcia idejowego podkładu ich życia, ale i sama Olivia, najwięcej wykończona, pozostawia nas w nieświadomości, co do swej treści duchowej. Widzimy, że altruizm jest wybitną cechą jej charakteru; widzimy objaw zewnętrzny: poświęcenie się pielęgnowaniu chorych, lecz czem jest po za tem sama dla siebie i sama przez się Olivia — o tem nie wiemy prawie nic.

Nie chcemy przez te uwagi obniżać wartości powieści. Nie daje, bo widocznie nie mogła lub nie chciała dać autorka tego, co nasby najbardziej zajęło: społeczno idejowej strony. Zostaje jednak psychologiczno-obyczajowa; a jako całość Olivia Lathan posiada wiele zalet, wśród których nie ostatnie miejsce przypada doskonałej, konkretnej znajomości stosunków skreślonych. Liczne i życzliwe sprawozdania pism angielskich świadczą o zainteresowaniu, jakie tam obudziła. Miejmy nadzieję, że ujrzymy ją w polskim przekładzie.

*W. M. Kozłowski.*

---

# Sen i marzenia senne.

*(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)*

(Ciąg dalszy.)

Sen roślin. Już Anaksagores, Arystoteles i Empedokles przyznawali roślinom duszę, Linneusz poszedł za ich przykładem, wszelako wyobrażał sobie, jak i jego poprzednicy, że można mieć duszę nieczującą, czyli, że można żyć, nie czując. Dzisiejsi uczeni nazywają czucia roślin tropizmami, to też sen roślin mienią „nyctitropizmem“. Linneusz nie znał jeszcze tej nazwy, więc pisząc rozprawę o śnie roślin, dał jej tytuł „Somnum plantarum“. Albertus magnus, dr. uni-

versalis, już przed 600 laty wypowiedział był zdanie, że rośliny śpią jak ludzie, za co był jednak skarcony przez kościół, który sądził, że ubliża się majestatowi człowieka, porównywując sen jego do snu roślin. Nie chcąc tedy ubliżać godności ludzkiej, nazwano, jakem powiedział, sen roślin „nyctitropizmem“ czyli dążnością senną: „Nachtwenden“, co profesor Rostafiński przetłumaczył na język polski wyrazami „zwrotność nocna“. Przy tym akcie wiele roślin ujawnia pewien wyraz senności; przybierają one n. p. ku wieczorowi, równo ze zmniejszeniem się światła dziennego, inną postać, inne położenie swych narządów, niż miały za dnia. Kielichy kwiatów zamykają się, niekiedy nawet cały kwiatostan zmienia swój wygląd. Rośliny potrzebują światła dla przemiany materji, przyswajania pokarmów. Brak światła zmusza je do zwolnienia niektórych czynności życiowych, albo do przerwania ich na czas pewien. To zmniejszenie naprężenia czynności jest odpoczynkiem, jest snem roślin.

Ilość zbadanych gatunków roślin pod względem ruchów i położeń sennych, wynosi, według obliczeń Hansgirga, przeszło 400, co stanowi małą cząstkę całej flory ziemskiej, liczącej około 270.000 gatunków dotychczas poznanych. Często formy bardzo blizko pokrewne wykazują znaczne różnice pod względem oznak zewnętrznych, dotyczących „nyctitropizmu“; te oznaki senności nie są tedy zjawiskiem koniecznem, pomimo że odpoczynek, wywołany okolicznościami zewnętrznemi, jest właściwy wszystkim roślinom. Niektóre z nich są tak czułe na wrażenia świetlne, że nawet słaby obłok, przebiegający pomiędzy niemi a słońcem pobudza je do ruchów sennych, np. goryczka snieżna (Gentiana nivalis). W ogóle dowiedzioną już jest rzeczą, że czułość niektórych roślin przewyższa o wiele delikatność czuć człowieka. Darwin dowiódł n. p., że drucik, ważący $^{1}/_{78\cdot710}$ część grama sprawia podrażnienie na gruczoły Rosiczki krągłolistnej (Drosera rotundifolia). Bakterje znowu wyczuwają obecność jednej biljonowej części miligrama soli potasowych w roztworach, w których żyją. Obok czuć delikatnych rośliny mają pamięć, przywykają do pór roku, do stanowiska swego względem stron świata, przystosowania swoje zachowują nietylko w pamięci osobnikowej, ale i rodowej tak, że n. p. dany gatunek, wywieziony z kraju rodzinnego bądź w stanie rozwiniętej rośliny, bądź w stanie nasienia, wykonywa na miejscu swego nowego osiedlenia w przeciągu dłuższego lub krótszego czasu czynności życiowe, wzorując się na przywyknieniach dawnych, nabytych w ojczyźnie pierwotnej. Ta pamięć przeszłości, to przyzwyczajenie do warunków klimatycznych kraju rodzinnego, jest pierwszym przebłyskiem tęsknoty za ojczyzną, jest to pewnego rodzaju „nostalgja“ roślinna. Jak przyzwyczajenia do pór roku, tak też bywają u roślin i przyzwyczajenia do perjodów snu. Raz nabyta kolej czuwania i snu ma się powtarzać i przy warunkach życia odmiennych. Dziedziczność pamięci o sennych perjodach, czyli o perjodach czuwania i spoczynku, jest rzeczą sprawdzoną u roślin (Richard Semon. Th. Ribot. R. Francé. etc.).

Długich lat walki potrzeba było na to, ażeby właściwości czuciowe, ażeby duszę właściwą przyznać i roślinom. Tysiące tysięcy razy przedstawiano dowody, że ani granicy fizycznej, ani chwili, kiedy pojawia się dusza w organizmie, czy to w perjodzie rozwoju osobnikowego (autogenetycznego), czy rodowego (filogenetycznego) oznaczyć nie sposób, jak niepodobna oznaczyć granicy pomiędzy roślinami i zwierzętami, ani zworzami państwa zwierzęcego i roślinnego. Nić nierozerwalna filjacji ciągnie się po przez wszystkie istoty ożywione — wszyscyśmy bracia — braliśmy i bierzemy początek wszyscy z jednej komórki pierwoszczowej. Człowiek, małpa, ptak, płaz, skrzek, ryba, owad, skorupiak, pierścienica, robak, polip koralowy, stułbia, gąbka, pełzak, roślina — są to stopnie, po których z wyżyn świata organicznego schodzimy do coraz prostszej, pierwotniejszej budowy ustrojowej. Mózg i system nerwowy maleją, rozprzęgają się w luźne komórki nerwowe, następnie i te roztapiają się. Kolonje komórkowe, jakiemi są tkankowce (Metazoa), rozpadają się; ze skupień kolonjalnych, monarchicznych pozornie jednoosobowych, przechodzą istoty organiczne w wieloosobowe, republikańskie, z tych w słabo zespolone konglomeraty komórek, aż nareszcie w osobowości jednokomórkowe.

Jak fizycznie, tak i duchowo przechodzą ustroje przez kolejne stadja rozwojowe. Dusza człowieka i ciało jego rozwijały się od stopnia komórki powoli — bardzo powoli. Że dzisiaj mózg nasz wzniósł się wysoko ponad mózg najbliższych naszych krewnych zwierzęcych i że czynności tego mózgu, czyli dusza nasza, odbiegły daleko od działalności tamtych, to nie stanowi żadnej przyczyny do uznania w nich obecności jakichś cech tajemniczych, czegoś nadzwyczajnego, cudownego.

(C. d. n.)

*Dr. Benedykt Dybowski.*

# „PASTOJ!“

Przyszliśmy nad kordon.

Z dwu stron otaczały nas wysokie wzgórza lesiste, wśród których bielały nagie złamki skał.

Środkiem legła szeroka, w cudną szatę zieleni ubrana dolina...

Cisza ujęła wszystko i wszystkich w ramiona. Długo, bardzo długo nie szepnął nikt nawet ani słowa.

Staliśmy wpatrzeni w graniczne słupy, w owe znaki męki i boleści narodu, przedartego w pół — czującego wciąż na sobie wiwisekcję, powtarzaną przez lat tyle

Strumień, biegnący doliną, szeptał swój pacierz żałosny, pełen skarg i łkań serdecznych... Nie dziw. Kazano mu wić się jak bliźnie krwawej, kazano mu być linją graniczną i rozdzielać trawy — zioła — ziemię i ludzi...

Staliśmy długo.

Od zachodu las cały był w mroku i ponurości. Gęsty bór świerkowy ani razu nie ozwał się szczebiotem ptaka, ani razu nie zaszumiał szeptem gałęzi, nachylających się lekko,

Liściasty las od wschodu kąpał się w jasności dnia pogodnego i mienił grą tonów rozlicznych. Od najjaśniejszej barwy zieleni pędów młodych, aż do najciemniejszego tonu liści, krytych cieniem, widać tam było całą gamę zieleni, mytej rosą — złoconej słońcem...

— Więc to granica? — pyta chłopczyna w mundurku gimnazjalnym...

— To kordon, granica jest tam, gdzie się stykają dwie ziemie obce sobie, dwa ludy odmiennego szczepu i plemienia. Tu ziemia ta sama — lud ten sam — linja zaznaczona rozcina łany jednej ziemicy — Ojczyzny, Matki obrońców sprawiedliwości i wolności.

— Wiele lat słupy te stoją?

— Trzy razy kordonu linję rysowano. Ostatni raz, zdaje się, po powstaniu Kościuszki, linję tę wycięto głęboko i szeroko.

Na dźwięk głosów naszych wymknął się z zarośli sałdat z karabinem w ręku.

Słuszny, zgrabny, o jasnych oczach, szedł ku nam nieco marszem, spoglądając na stojących tuż przy moście „k a z i e n n y m“.

— Dobry wieczór, panie sałdat, odezwałem się...

— Dobry wieczór! — odpowiada uprzejmie.

— Umiecie po polsku?

— Umiem, już cztery „hody“ tu stoję.

— Z której gubernji?

— Z Wołyńskiej. Z pod Żytomierza.

Zbliża się ku nam, siada na kamieniu, my na murawie układamy się dużem kołem.

Rozpoczyna się rozmowa dziwnie ciekawa. On rad widać o niejedno zapytać, ale nie ufa nam. My zarzucamy go pytaniami, na które on albo odpowiada albo wymijającemi słówkami odcina.

Z za pochyłości góry przeciska się jasność słoneczna i ozłaca linję kordonu — sałdata z karabinem i nas, siedzących jakby przed kratami niewoli.

Wkrótce przybywa słuchaczy i gawędziarzy.

— Z „n a s z e j s t r o n y“, jak powiada sałdat, przyszli gospodarze, co po zbożach oglądali, czy idą do żniwa... Prócz nich, z „tamtej“ strony jeszcze zebrała się gromadka dziewcząt i kobiet z dziećmi, które, jakoto przy święcie, wyszły na maliny i jagody.

Wszystko to, zwabione gawędą — zebrało się w kupkę, siadło po „tamtej“ stronie, a koło nas także ustawiło się wielu zaciekawionych.

— Cóżbyście, panie sałdat robili, gdybym teraz przeszedł parę kroków na tę stronę? pytam...

— Kryczałbym „pastoj!“

— A gdybym nie stał?

— Strzeliłbym w górę.

— A potem?...

Machnął ręką i dziwnie się uśmiechnął...

— Musiałby strzelać, tłumaczy mi ogorzały wieśniak z „tamtej“ strony.

— A czy już pan sałdat ubił tu na granicy kogo?

— Nie! po co?... przez to nie zostałem starszym.

Wyszło jeszcze z oddali dwu sałdatów bez broni i poczęło się ku nam zbliżać.

Są to ci, co wolni od służby; idą nieco przygarbieni, w białych czapkach i kabatach. Stanęli opodal, poszeptali parę słów z sałdatem na straży, a wreszcie jeden z tych bez broni zbliża się ku nam, nachyla i szepce:

— Co tam o naszej wojnie słychać?

— Nie dobrze, odzywa się towarzysz mój.

— Czyście już o „Potemkinie“ słyszeli?

— Słyszelim. Ale czy będzie pokój?

Mój towarzysz opowiada o najświeższych wieściach... słuchają wszyscy z skupioną uwagą.

Jeden z gospodarzy przerywa:

— My inaczej słyszeli.

— W naszej gazecie było inaczej, — dodaje drugi...

Po dłuższej rozmowie zbierają się sałdaci „goście“ do powrotu... Ten, co z Podolskiej gubernji, pyta jeszcze, czy nie słychać o brance i odchodzi, a tamten, z Jekaterynosławskiej, chmurny, zgarbiony, idzie za nim, nie rzekłszy ani słowa.

— Więc tak siedzimy tu — jak za kratą, powiadam do włościan „z tamtej“ strony... ani my do was, ani wy do nas — czy to nie smutne?

— „Pastoj!“ wołali raz pierwszy, jak słupy wbijali — tak stanęło wszystko niby grobem, dodaje mój towarzysz, a jedna z pań na to:

— Odfotografuję was wszystkich, razem z sałdatem i słupem granicznym.

Podobała się myśl ta niezmiernie. Ci, z „tamtej“ strony zbijają się w gromadkę jedną, my, „z tej“ strony, w drugą, a sałdat, z karabinem, tuż obok słupa, pomalowanego w białe i czarne pasy.

— Dziecko przysuń bliżej, woła wieśniak „z tamtej“ strony...

— I pies mój będzie na obrazku, znów cieszy się jakiś mizerny, nędzny człeczyna...

Zdjęcie ukończone, rozchodzimy się, prowadząc dalej rozmowę.

— Nasz car nazywa się „hosudar“, mówi sałdat do nas, a wasz także „hosudar“, tylko pruski jest „korol“, bo który ma orła z dwoma „hołowami“, na jeden i drugi bok, ten hosudar, a pruski ma orła z jedną głową, to korol.

— A wy w wojnie nie macie brata?

— Nie ma, ale każdej godziny mogę tam pójść. Teraz o 6-tej ja idę na „post“, mam 6 godzin wolne — niech ja zastanę rozkaz, że mam iść na wojnę — do trzech godzin mam być gotowy i w drodze...

— Jakże u was? pyta z „tamtej“ strony, gospodarz naszego sąsiada... roboty macie? Ja w tym czasie dawniej miałem tyle butów do roboty, żem wychodzić nie mógł, teraz nic i nic.

— Ciężkie czasy!

— Kto będzie buty obstalowywał? połowy mężczyzn niema... a kto jest w strachu i w biedzie nie myśli o zimie...

— Tam niedaleko jest śliczny wodospad, z Ojcowa przychodzi dużo gości, ażeby oglądać, opowiada mi znowu jedna z dziewcząt, hoża i rumiana.

— Cóż, kiedy mnie przejść nie wolno.

— Jakby pan dali sałdatowi ze 2 ruble, możeby puścił.

— Puściłby, ale mógłby dostać karę, gdyby nadjechał kapitan, przestrzega szewc, z „tamtej“ strony...

— Nie poszedłbym wcale, odpowiadam na to, pocóż narażać człowieka na przykrość?... „Pastoj“, któreby na mnie sałdat zawołał, jest rozkazem strasznej potęgi niewoli, która prawie tak samo ciąży nademną, który przejść nie mogę kilku kroków dalej, jak i nad tym, który z bagnetem w ręku czuwa, by wymierzyć i strzelić.

— On by wolał tu nie stać...

— Wierzę, bardzo wierzę, niewolnik wpatrzony w ślad ścieżki drobnej, czy nie jest ofiarą despotyzmu, tej klątwy ludów i narodów?

A sałdat, jakoby rozumiejąc, o czem mówię z sąsiadem, zbliża się i szepce:

— Nasz „hosudar“ by chciał inaczej, ale nie może — na niego także kryczut „pastoj!“

Odszedł spiesznie, żegnając nas skinieniem głowy, a my wracaliśmy pod wielkiem wrażeniem.

*Jan Świerk.*



##  PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA 

*Schopenhauer - Hamlet - Mefistofeles*, napisał Fryderyk Paulsen, tłumaczył z niemieckiego Jan Kasprowicz. Lwów 1905. Wydawnictwo „Wiedza i życie“. Trzy te rozprawy, złączone w jedną całość, mają też tło jednakowe a właściwie cel, do którego zmierzają. Jest nim studjum pesymizmu na podstawie filozofji Schopenhauera, a rozbioru krytycznego i psychologicznego Szekspirowskiego Hamleta i Goethego Fausta. Autorowi nie chodzi o porównanie trzech tych postaci, które jest niemożliwe, już choćby z tego powodu, że Schopenhauer i Hamlet są ludźmi, Mefistofeles jest szatanem. Tamci w gruncie swojej istoty żywią wstręt i nienawiść do tego, co złe i podłe, podczas gdy to złe jest naturą Mefistofelesa. Mimo to jednak obaj ci ludzie cieszą się ze zła i nikczemności, o ile one potwierdzają ich teorję o ludziach. Paralela pociągnięta jest bystro i sumiennie, z uwypukleniem wszelkich różnic i cech wspólnych, które łączą i dzielą te trzy postacie. P. Kasprowicz mistrzowskim przekładem dzieła niemieckiego filozofa dobrze się przysłużył polskiej literaturze filozoficznej.

*Jesienne liście* przez Bronisławę Ostrowską. Lwów 1905. Księgarnia Altenberga. Efemerydalny tomik jesiennych nastrojów, przechodzących dalej w „bajki“, a zakończony przekładem z francuskiego, dokonanym rytmiczną prozą. Cały zresztą tomik jest pisany prozą dobrą i piękną, która treści nastrojowej dodaje wiele uroku. Cała rzecz przeciętnie dobra.

*F. J.*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.